

Andrzej Gnarowski

Cantata

Na zewnątrz duszy ludzkiej istnieje świat
dźwięków, złożony nie tylko z odgłosów
natury, lecz także z głosów ludzkich,
które mówią, krzyczą i śpiewają.

Przysłuchiwałem się twardym układom dźwięków –
Fortissimo w c-mol z tremolandum smyczków drewna
I trąbek. I to jest do zapamiętania kiedy klawisze
Fortepianu drżą półnutą jak wysyłane w drogę pocztowe gołębie
– Modern jazz quartet albo ci naiwni muzykanci z lat
Trzydziestych w Cotton Club (club nowojorski w którym
grywali Duke Ellington Count Basie i Louis Armstrong)
Bach grał na organach w kościele świętego Tomasza
Kantor jako najszlachetniejsze zjawisko ludzkiego
Ducha w ciszy niezmaconej jak w Greckiej wyroczni
(tej nocy ludzkim głosem mówiły zwierzęta) krzyczały
I śpiewały w chóralnych przygwarkach. Lekkość pieśni
I powaga hymnu. Lipsk ze strzelistymi wieżami ze stadami
Domów biegnących pod bizantyjskie niebo. Cantaty suity
I pertity – dziewczyna o platynowych włosach rozczulająca
Lecz bez wdzięku flet zakwitł w jej rękach jak eliksir
Życia. Suknia opadła w fałdach usta szerokie i suche
Otwierając pamięć nie zrywać z przeszłością – wszystko
Co się zaczęło przed jej urodzeniem (może zawsze było coś
więcej niż było) np. Wielka msza h-mol zmurszałe mury
Starego klasztoru za średniowieczną bramą –

Sentencja ostateczna:
Sypnęto muzyką chórmistrze kolebiącym się krokiem
Marynarzy nieśli krzyże z gołębiami Panna Maria
Która wskutek psychologicznego jasnowidztwa
Pokazywała im całe wnętrza duszy ludzkiej
I to że na zewnątrz istnieje świat dźwięków:

Podobno tak dziwnie grała na fortepianie

* * *

*Goethe roześmiał się głośno, podszedł do stołu,
wyciągnął szufladę, wyjął stamtąd skórzaną czy
aksamitną szkatułkę, otworzył ją i podsunął mi
pod oczy. Leżała w niej na ciemnym aksamicie
nieskazitelna i błyszcząca miniaturowa różka
kobieca, urocza różka, łukiem zatoczona w kolanie,
z wyciągniętą stopą, ostro zakończoną
delikatnymi paluszkami.*

Hesse

Tęsknimy jak Goethe za Weimarem powracamy
Na sygnały z lasów Wirtembergii gór Turynii
Do altany w której zwykł był drzemać. Omijamy
Skrzętnie Buchenwald z zielenią zakrzepłą w kamieniu
W dniu Ptaków i Drzew naśladowano ptasie trele
W górnych oktavach (czystą lecz niespokojną muzykę)
Zwiedzamy herbarium poety wypełnione rzeźbami
I minerałami rycinami zagęszczoną cielesnością
Twarz Goethego śmiała się cicho i był podobny
Raz do Schuberta a raz do Mozarta kiedy mówił:
„Wieczność jest tylko mgnieniem oka, akurat
dostatecznie długim na żart.” Dach jego domu
Żarzył się zielonym światłem. Wiatr jak pas
Transmisyjny poruszał do przodu rzekę. Przed

Domem sternika D. rozczesywała włosy miała
„biodra wygięte jak różowe sanie” tonęła
W białej mgłę (wyglądało tak jakby spod dębu
snuł się dym) a to las w górach Turynii owijany
Był ciemnym welonem zmierzchu. „Bogowie czasem
opuszczają las” powiedziała D. pamiętam jej siwe
Włosy łuk wygiętych ust krągłość ramion. Rozmawialiśmy
O szyickich świętych o wnukach Mahometa. Rano z ciężkim
Sercem stanęła przed lustrem. Wzdęty brzuch blade
Oczy. Rządki białych zębów. Z wyciągniętą stopą
Ostro zakończoną delikatnymi paluszkami –
I była jeszcze akwaforta z demonicznym starcem
W asymetrycznym powietrzu

* * *

*Zrozumieć wszystko bez zrozumienia siebie –
Kierkegaard*

Mojej żonie Grażynie

Oczy ptaków były jak szklane kamienie –
Drzewa uwięzione w przestrzeni (korzenie pnie kwiaty owoce)
Wyschnięte drzewo pęka. Rzeka odpływa i piękno jej brzegów
Staje się elementem przeszłości. Smugą srebrnego światła
Na butwiejących zboczach wzgórz. Mgławicą Andromedy
Zrozumieć wszystko bez zrozumienia siebie (być ciągle
na początku świata. Zakreślać koła nad drzewami wiadomości
dobrego i złego) jak dnie zatopione w czasie. Pustynie
Lotnych piasków kołyszące horyzont. Oaza która jest początkiem
I końcem. Zawieja śnieżycą po których nie można przewidzieć
Drogi. Znika z oczu. I znów zakrywa się szczelną zasłoną
„przejsz nie przechodząc, można nie przejść wcale”
Oczy ptaków za drzewami pachną nasłonecznionym powietrzem
Ty – wiązki promieni przeniosłaś przez dziesiątki wiosen
Przechodząc po ścieżkach labiryntach róży. Widzę owal twojej
Twarzy. Masz w oczach morze. Błyskawic grzebień –
Potykam się o cień drzewa. Opada ze mnie deszcz godzin
Zimowych. A w strunach żył zmierzch lazurowy –
Na skraju (oceanu) pustyni zapadła czarna gęsta
Noc. Z czarnego kłębaka odwinięta. Kiedy nadszedł
Świt – piasek był barwy śmietankowej
I był przy tym połyskliwy. Węże podnosiły
Wysoko głowy i wabiły cienkimi zielonymi
Języczkami. Zapachniało zielenią i wodą

